

Kim my jesteśmy?

„Sensu i porządku nie ma. Jest tylko pusty i wydrażony człowiek”.
To słowa jednej z bohaterek „Morfiny”.

Najnowszy spektakl Teatru Śląskiego, tak jak życie, też jest chaotyczny, choć z tego – w sumie pozornego – bełzadu można wydobyć nadrzędny sens.

MARTA ODZIOMEK

Kim jest Konstanty Willemann? Dla Szczepana Twardocha, autora „Morfiny”, człowiekiem rozdartym pomiędzy Polską a Niemcami. Ślązakiem, który w końcu postanowił wybrać polskość. Za wybór ten zostaje – paradoksalnie – wydany na niego wyrok śmierci przez państwo podziemne, które nie wie, że wszystkie te podłości Kostek zrobił dla Polski. Zabójstwo Kostka jest u Twardocha pewnego rodzaju metaforą. Czego? Sposobu, w jaki Polska obeszła się z Górnym Śląskiem.

Kim jest Konstanty Willemann dla Eweliny Marciniak, reżyserki „Morfiny”? Również człowiekiem, który poszukuje swojej tożsamości, choć o kwestiach polsko-śląskich mówi się tutaj niewiele. Jest za to sporo o byciu formowanym: przez rodzinę, środowisko i otoczenie. Konstanty jest zatem świetnym pozorem,

pragnie śmierci dla sławy i blichtru, a nie dla sprawy polskiej. Wszystko jest po to, by czuł się lepiej. Nic więcej, tylko to.

Równie ważnym przesunięciem, którego dokonała Marciniak, jest „zamiana” głównego bohatera. W spektaklu jest nim nie Konstanty, ale historia. Człowiek zaś ukazany jest poprzez przyzmat owej historii. I to niejednej, ponieważ coś takiego jak jedna właściwa historia nie istnieje, a jest ich całe mnóstwo. Można by powiedzieć, że ile istnień, tyle historii. Większość z nich opowiadana jest przez kobiety, bo to one właśnie zajmują myśli Kostka. Są piękne, emanują seksapilem, ich błyszczące kostiumy więcej odkrywają, aniżeli przykrywają. I o ile w powieści Twardocha są kukielkami w rękach mężczyzn, o tyle w spektaklu są świadomymi siebie bohaterkami.

Reżyserka postanowiła pobawić się z opowieścią zapisaną na kartach



Szczególnie duże brawa dla aktorów Teatru Śląskiego, którzy tę zmysłową maszynę pamięci, tkwiącą w głowie autora, adaptatora i reżyserki, uruchomili

książki. Nie ona była najważniejsza, ale raczej sposób, w jaki może być opowiedziana, oraz sens wynikający z obranego sposobu narracji. Jak zatem została opowiedziana? Głośno, zmysłowo, emocjonalnie. Bez zadęcia i patosu. Z przymrużeniem oka, dowcipnie i z dystansem.

Akcja rozgrywa się na tle białej ściany budynku, który dziś spełnia funkcję galerii sztuki, a kilkadziesiąt lat temu był cechownią kopalni.

Forma zaproponowana przez Ewelinę Marciniak, czyli uruchamianie aktorów na zasadzie maszyn wypowiadających różne teksty, niekoniecznie należące do postaci przez nie granych, nie należy do najnowocześniejszych, choć faktycznie taki ostatnimi laty panuje trend w polskim teatrze. Wielu reżyserów proponuje taki właśnie sztuczny sposób przedstawiania, gdzie opowiadana historia jest najmniej ważna. Liczą się emocje i obrazy, słowa też, ale nie na pierwszym miejscu.

Takiego spektaklu na Górnym Śląsku jeszcze nie było. Dzięki Marciniak, ze sporym opóźnieniem, ale wreszcie – mamy go i śmiało możemy się nim chwalić na arenie ogólnopolskiej, może nawet międzynarodowej. I choć miejscami robi się nużące, szwankują mikroporty, a niektóre sytuacje pozostają nieograne, to jest interesująco. Jeśli chcecie poczuć w pełni zmysłowość wizji reżyserki, zapoznajcie się jednak najpierw z treścią powieści. ●